

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

Nr. 10 kwiecień-czerwiec 2023r. INS rej. 15/20

WIOSKA NA KRAŃCU



KWARTALNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY STOWARZYSZENIA
„W STAREJ GMINIE” MIEJSCOWOŚCI HUTA KRZESZOWSKA



*„Powitanie Słońca”
Józef Chełmoński, 1910r.*

Imć Pan kasztelan lwowski Marcin Zamojski – odnowiciel potęgi rodu

Zanim objął dobra krzeszowskie i całą Ordynację Zamojską, co stało się możliwe po śmierci trzeciego ordynata – Jana „Sobiepana” (w dniu 7 kwietnia 1665 roku), musiał... toczyć o nie prawdziwe, czyli krwawe boje. O tym, że był akurat wprawionym żołnierzem Rzeczypospolitej Szlacheckiej, nikomu raczej nadmieniać nie trzeba.

Zaliczał się bowiem do najdzielniejszych członków tegoż znamienitego rodu, rzecz jasna po hetmanie wielkim koronnym, a zarazem kanclerzu królewskim, notabene twórcy i fundatorze owego latyfundium – Janie Sariuszu, sławnym m.in. z pokonania arcyksięcia Maksymiliana III Habsburga, którego wziął osobiście do niewoli (po bitwie pod Byczyną), w styczniu 1588 roku i więził potem w Zamościu oraz w Krasnymstawie.

Zgodnie z tradycją rodzinną, czwarty z kolei ordynat zamojski, wykazał się w swym życiu również odpowiednią walecznością, aczkolwiek nie tylko na polu bitwy, bo także... na wokandzie sądowej, tj. przed różnymi trybunałami, kiedy próbował dowodzić niezbitych praw do majątku, pozostawionego po wyżej zmarłych.

Należał się mu słusznie z racji jego niepodważalnego pochodzenia z tej samej rodziny, a dokładniej z bocznej, tzn. sąsiedniej linii Zamoyskich. Właśnie z tego powodu, dzięki pomocy ojca Zdzisława Jana, który mawiał o własnym synu, iż „jest żołnierzem, stąd po żołniersku dochodzi praw do ordynacji”, wraz z rodzonym bratem Kazimierzem, podobnie jak on służącym w wojsku polskim, przy wsparciu regimentu piechoty niemieckiej, ponadto dwóch innych chorągwi: pancernej i dragońskiej, jak również piechoty węgierskiej (razem ok. 600 ludzi), zdobył siłą, jeszcze pod koniec 1665 roku, takie dobra, jak Krzeszów, Zamch, czy Tarnogród.

Miejscowości te zdążyła obsadzić niewiele wcześniej, w dodatku wbrew statutom spornego spadku, oddanymi sobie żołnierzami Gryzelda Konstancja Wiśniowiecka, siostra zmarłego wtedy trzeciego Pana na Zamościu, a jednocześnie wdowa po groźnym wojewodzie ruskim – księciu Jeremim, przy zbrojnej asyście wiernego jej siostrzeńcowi (tj. syna młodszej siostry Joanny Barbary Koniecpolskiej), ok. dwudziestodwuletniego starosty dolińskiego, przyszłego oboźnego wielkiego koronnego – Stanisława.

Kolejny Pan na Zamościu nie wiedział wówczas z pewnością, iż właśnie tutaj, a dokładniej w zdobytym przez siebie zamku krzeszowskim, który zresztą szybko utracił, zakończy kiedyś (dokładnie 4 czerwca 1689 roku), swe spełnione i bogate życie. Co ciekawe, o mało co, nie zostałoby ono przerwane znacznie wcześniej, bo już 6 grudnia 1665 roku w Tarnogrodzie.

Doszło tam wtedy do próby jego ujęcia przez ludzi popierających księżną. (Należeli zaś do nich tacy szlachcice, jak dzierżawca powyższego miasta oraz Biszczy i Księżpola – miecznik chełmski Aleksander Garczyński, ponadto ówczesny posiadacz Zamchu – Jan Rzepecki, czy posesor Krzeszowa – Jan Słoniowski). Cudem uniknął swego pojmania, niestety kosztem życia kilku najbliższych towarzyszy.

Warto zatem poznać bliżej sylwetkę tego słabo znanego ordynata, ponieważ stał się on nie tylko odnowicielem lub nawet faktycznym „drugim fundatorem” zrujnowanej po śmierci „Sobiepana” Ordynacji Zamoyskiej, lecz także skutecznym obrońcą Rzeczypospolitej, a przy okazji... jeszcze hojnym darczyńcą ziemi ordynackiej dla podbiłgorajskich franciszkanów (w 1677 roku).

Marcin Zamoyski, herbu Jelita, urodził się ok. 1637 roku w Gródku (zapewne Jagiellońskim k. Lwowa), jako syn wspomnianego Zdzisława Jana, późniejszego podstolego lwowskiego i kasztelana czernihowskiego oraz Anny Zofii Lanckorońskiej, herbu Zadora z Brzezia.

Jego dziadek Jan był także żołnierzem, ściślej mówiąc rotmistrzem królewskim i strażnikiem koronnym, ponadto kasztelanem chełmskim. Zginął w 1618 roku w obronie granic Polski przed Tatarami. Jednym z synów tegoż seniora, czyli stryjem Marcina, był Jan Chrzyciel Zamoyski, biskup bakowski, przemyski oraz łucki, zmarły w drodze do swego ostatniego biskupstwa tuż pod Biłgorajem (w styczniu 1655 roku).

Zanim został podskarbid wielkim koronnym (w 1685), pełnił m.in. urząd wojewody braclawskiego (od 1678/1679 do 1682), podolskiego (w 1682) i lubelskiego (od 1682/1683), jak również kasztelana lwowskiego (już od 1677), wprawdzie zaś podstolego (od 1656 lub 1659 roku). Oprócz tego piastował jeszcze funkcję starosty bełskiego (w latach 1677-1689), płoskirowskiego, rostockiego i bolimowskiego. Jednak przede wszystkim był... rotmistrzem (od 1656) oraz pułkownikiem wojsk Jego Królewskiej Mości.

Czwartym ordynatem zamojskim został formalnie dopiero po 11 latach od śmierci Jana „Sobiepana” Zamoyskiego, stoczywszy wcześniej wiele potyczek i procesów sądowych, które trwały począwszy od 1665 do 1674 roku łącznie. Ale to rodowe latyfundium objął na stałe dokładnie dwa lata później, tzn. w 1676 roku, jako pierwszy z tzw. „młodszej” linii Zamoyskich.

Będąc tutejszym magnatem posłował z województwa bełskiego na sejm nadzwyczajny 1677 roku. Potem, już jako senator, brał również udział w kilku innych sejmach, m.in. na przełomie 1678/1679, w 1681, w 1683 i w 1685 roku. Wcześniej ożenił się z Anną Franciszką Gnińską, u której kapelanem na dworze został z czasem słynny jezuita-architekt Jan Delamars.

Posiadał z nią kilkoro dzieci, mianowicie: Jana Franciszka, innego syna zmarłego w dzieciństwie, Tomasza Józefa, czyli piątego z kolei ordynata, Michała Zdzisława, szóstego Pana na Zamościu, Marcina Leopolda i jeszcze dwóch synów, także zmarłych w młodości oraz córkę Mariannę Teresę. Warto tu wspomnieć, że żaden z ordynatów w historii nie miał nigdy tyle potomstwa.

Wróćmy teraz na chwilę do czasu, gdy po bezpotomnej śmierci Jana „Sobiepana” (w 1665 roku), wygasła na nim „starsza”, tzn. kanclerska linia ordynatów. Statut nadany temu latyfundiowi przez fundatora wykluczał od jego dziedziczenia płeć żeńską, ponieważ „w pomienionych dobrach, nikt prócz mężczyzn, z prostej linii od niego pochodzących, z tych zaś jeden tylko, według porządku i pod warunkami niżej opisanymi, [ma] zawsze dziedziczyć, dobra powyższe posiadać i z nich użytkować. Dlatego też swe rodzone siostry i córki oraz sukcesorów tychże siostr i córek, tudzież cały ród płci żeńskiej (...) od sukcesji dóbr powyższych na zawsze oddala[ł]. Przeto prawo dochodzenia i upominania się o powyższe dobra tymże również na zawsze przecina[ł], zamyka[ł] i tam[ował]”.

Pomimo tego siostra trzeciego ordynata – Gryzelda Wiśniowiecka oraz spadkobiercy Joanny Barbary z Zamoyskich Konięcpolskiej (zmarłej w 1653), wystąpili bezczelnie z roszczeniami spadkowymi, powołując się na ogólne zasady sukcesji, obowiązujące w prawodawstwie polskim. Dokładnie wtedy przeciw nim wystąpili spokrewnieni męscy przedstawiciele rodu Zamoyskich, z wymienionym kasztelanem czernihowskim Zdzisławem Janem i jego synem Marcinem na czele.

Obie strony zaczęły prowadzić odtąd zażartą agitację między drobną szlachtą, a nawet pośród rodów magnackich, prosząc o poparcie swych nie do końca uzasadnionych praw. Spór ten wywołał oczywiście wiele kontrowersji i zamętu w osłabionej wewnętrznymi konfliktami Polsce. Co gorsze, Gryzelda Wiśniowiecka, nie czekając wcale na rozstrzygnięcia sądowe, zajęła ordynację po zmarłym bracie siłą i nie pozwoliła już jej przejąć, aż do swej śmierci w

1672 roku. Kilka miesięcy po jej zejściu, w podobny sposób, dobra te zagarnął jej siostrzeniec Stanisław Koniecpolski. Proces ten przeciągał się zatem zrozumiale i co gorsze... obfitował w najazdy, grabieże oraz rozboje.

Wówczas zostały ograbione z wyposażenia nie tylko kościoły, czy domy zakonne, lecz także świecka Akademia Zamojska, z której ów ostatni wywiózł część bogatej biblioteki. Kwestię tę uregulował dopiero kolejny sejm, odbyty w 1674 roku, który przyznał powyższy majątek Marcinowi Zamoyskiemu, z tego względu, że jego ojca już nie było na tym świecie. Spadkobiercy dwóch siostr trzeciego ordynata mogli zatrzymać jedynie tzw. dobra wolnodziedziczne, m.in. szarogrodzkie, raszkowskie, a także Jarosław, Ostróg, Tarnopol, czy Tarnów.

Ale na tym się nie skończyło, bo starosta doliński Stanisław Koniecpolski jeszcze przez dwa lata apelował i skutecznie utrudniał przejęcie ordynacji przez prawowitego właściciela, przy pomocy własnych oddziałów wojskowych. Dopiero zbrojne wystąpienie przeciwko niemu całej szlachty lubelskiej przy poparciu samego króla polskiego dla Marcina Zamoyskiego, doprowadziło go do pokornego ustąpienia. (Ale nie za darmo! Wynegocjował sobie na koniec Rużyn (obecnie część Zwierzyńca), Biszczę i kilka innych ważnych miejscowości).

Czwarty ordynat, przejmując swe latyfundium, liczył sobie już niemal 40 lat. O jego wychowaniu, wykształceniu i rodzinie niewiele możemy dzisiaj powiedzieć. Rodzeństwo składało się z dwóch starszych braci: Mikołaja, Stanisława, jak też z młodszego Jana Kazimierza (zmarł trzy lata po nim, czyli w 1692 roku), a także z dwóch siostr – Marianny Teresy i Eufrozyny.

Wykształcenie otrzymał dość powierzchowne, gdyż jak wiemy, poświęcił się karierze wojskowej od wczesnej młodości. W czasie najazdu szwedzkiego dochował wierności królowi polskiemu i uczestniczył w ważniejszych bitwach. Niestety w 1656 roku dostał się do niewoli szwedzkiej po potyczce koło Rawy Mazowieckiej. Został uwięziony w zamku w Człuchowie, skąd przy pomocy polskich dragonów, służących Szwedom, uciekł i stawiał się zaraz pod rozkazy hetmana polnego koronnego Jerzego Lubomirskiego.

Uczestniczył potem w dalszych walkach, m.in. w wyprawie odwetowej na Siedmiogród. Za niewątpliwie zasługi bojowe król obdarzył go (przed 1659 rokiem), urzędem podstolego lwowskiego. Lata 1660-1673 spędził również na wyprawach wojennych, uczestnicząc w kampaniach i wyprawach przeciw Rosji. Świadek tychże wydarzeń (Jan Florian Tuszyński) tak ocenił jego doświadczenie wojskowe: *„Na wojnie 1663-1665 z Rosją był z nami JM. Pan Marcin Zamoyski podstoli lwowski. Rotmistrz miał chorągiew swoją dobrą pancerną, wielkiej odwagi i wielkiego serca był to człowiek, a przy męstwie tak wielkim rozum pański mający”*.

Potem wziął jeszcze udział w wojnie domowej, która wybuchła w 1665 roku. Potoczyła się ona nieszczęśliwie dla stronnictwa królewskiego, gdyż opozycjoniści pod wodzą ówczesnego marszałka wielkiego koronnego, jednocześnie hetmana polnego Jerzego Lubomirskiego, zadali wojskom władcy ciężkie straty (w bitwach pod Częstochową i Mątwami).

W tym rokoszu walczył opatrnie po stronie przeciwników władzy, ale nie zdobył wcale sławy. Dlatego szybko nawiązał współpracę z Janem Sobieskim, czyli w 1666 roku, by uczestniczyć w jego wyprawach przeciw Kozakom, Tatarom oraz Turkom. Nie zyskał jednak wśród szlachty i magnaterii wielu przyjaciół.

W dodatku niechętnie odniósł się do wyboru na króla polskiego Michała Korybuta Wiśniowieckiego (w 1669 roku), ponieważ oddalało to jego zwycięstwo w walce o prawa do ordynacji. Miał nawet powiedzieć o nowym monarsze: *„Podobniejszy on mydło z krobką [w koszyku] po Zamościu nosić, niżeli królować”*, za co w 1672 roku, podczas obrad koła

rycerskiego pod Gołębim, o mało nie zginął z rąk jego rozjuszonych zwolenników, o czym możemy przeczytać w „Pamiętnikach” Jana Chryzostoma Paska.

Ocalił go wtedy osobiście sam władca, który powiedział: „*Choćby to i co większego mówił, odpuszczam mu i proszę za nim*”. W 1673 roku uczestniczył w bitwie pod Chocimiem. Zwycięstwo to zbiegło się ze śmiercią tego władcy, jego krewnego i co tu mówić wybawcy. Dlatego też sejm elekcyjny, obradujący w atmosferze zagrożenia ze strony Turcji, wybrał na początku następnego roku Jana Sobieskiego na króla. Był to ważny zwrot w życiu Marcina Zamoyskiego.

Jego walka o ordynację, wsparta teraz przez nowego monarchę, a także teścia Jana Gnińskiego oraz szlachtę lubelską, zakończyła się szybko ogromnym sukcesem. Niestety wcześniejsze rządy Gryzeldy Wiśniowieckiej i jej młodego siostrzeńca Stanisława Koniecpolskiego, przyniosły temu majątkowi tylko gigantyczne straty materialne, z zadłużeniem włącznie.

Stąd też z powodu braku kapitału nie poświęcał mu początkowo wielkiej uwagi. Dopiero uzyskana kilka lat później pożyczka od Rzeczypospolitej), w wysokości 700 tys. zł pozwoliła mu na odbudowę zniszczeń oraz rentowność tejże ordynacji. (Podniósł wówczas m.in. wielkość eksportu swego zboża do Elbląga, gdzie w przeciwieństwie do Gdańska, ludność była „*pocziwa i przyjemna, zaś ekspedycja prędko oraz sprawiedliwa*”).

Wspomniana działalność gospodarcza czwartego ordynata zamojskiego przeplatała się oczywiście z walkami z Tatarami lub Turkami, jak również z pełnieniem przeróżnych obowiązkowych funkcji publicznych. Najpierw wyznaczono go bowiem na sejmie 1677 roku do wybierania hiberny (podatku dla wojska koronnego), by już po dwóch latach został ustanowiony deputowanym do Trybunału Skarbowego we Lwowie i wojewodą braclawskim.

Następnie z rąk króla otrzymał nominację (w 1681), na urząd Administratora Skarbu Koronnego, potem zaś na wojewodę lubelskiego. W międzyczasie powiększyła się też jego rodzina. Z małżeństwa z Anną Franciszką Gnińską (w 1675), doczekał się aż ośmiorga dzieci.

Pełnione funkcje, sprawy gospodarcze oraz rodzinne nie pozwalały mu jednak pozostawiać najważniejszych kwestii, czyli obrony kraju. Dlatego w 1683 roku wziął udział w odsieczy wiedeńskiej, dowodząc własną 150-konną chorągwią pancerną. Jako jeden z pierwszych dotarł wtedy nawet do obozu tureckiego. Walczył również pod Parkanami, będąc dowódcą środka sił polskich, ponadto pod Ostrzyhomiem (Esztergomem) i Preszowem. Z tej kampanii wojennej przywiózł bogate łupy, w tym chorągiew turecką wykonaną z czerwonego jedwabiu, przetykanego złotem.

Okazał się najwierniejszym zwolennikiem króla Sobieskiego, za co jego długoletnia służba została sownie wynagrodzona. Albowiem już w 1685 roku został podskarbis wielkim koronnym. Wypłacał odtąd wszystkim żołd lub pensje wojskowe, ponadto ściągał podatki, zarządzał mennicą królewską, cekhausami i wakującymi starostwami.

Jego oszczędne oraz prężne rządy w ordynacji zaczęły przynosić prędko duże zyski. Pod koniec XVII w. dochody z niej wynosiły już około 649 tys. zł. rocznie. Założył w trakcie swego panowania wiele nowych osiedli, dzięki czemu w skład wspomnianego majątku w 1688 roku wchodziło aż 9 miast, 60 folwarków i 168 wsi. Wiele uwagi poświęcał także modernizacji urządzeń obronnych Zamościa, zwiększając znacznie zdolność bojową tej ważnej twierdzy.

Stał się faktycznie drugim fundatorem i odnowicielem ordynacji oraz dał początek nowej linii Panów na Zamościu (do 1944 roku). Dzięki niemu Akademia Zamojska otrzymała część utraconych wcześniej funduszy, aczkolwiek nie przeprowadził w niej gruntownych reform, co doprowadziło ją z czasem do całkowitego upadku. Zmarł 4 czerwca 1689 roku w wieku 52 lat w Krzeszowie nad Sanem, pozostawiając po sobie dobrze prosperujące latyfundium.

Podobnie, jak inni ordynaci, został pochowany w podziemiach Kolegiaty Zamojskiej, obecnie Katedry. Na koniec chciałbym polecić uwadze czytelników niezwykle ciekawy akt kasztelana lwowskiego Marcina Zamoyskiego, wystawiony w 1677 roku, a więc sporządzony przez niego już jako prawowitego ordynata, potwierdzający nadanie ziemi franciszkanom biłgorajskim, należącej dotąd do ordynacji, dokonane niezgodnie z prawem rok wcześniej przez jego wielkiego opozycjonistę Stanisława Koniecpolskiego.

Oto on:

Confirmatio (Potwierdzenie)

Marcin na Zamościu Zamoyski, kasztelan lwowski, bełski, płoskirowski etc. starosta. Wiadomo czynię tym pismem moim, iż lubo Ordynacja Dóbr Zamoyskich prawami królewskimi zatwierdzona mnie, jako Ordynatowi dóbr dziedzicznych, dobra Ordynacji Zamojskiej żadnym sposobem przekazać nie pozwala. Jednak z gorliwej pobożności dla pomnożenia chwały Boskiej, grunt pewny albo raczej uroczysko Czostkowa Góra nazwane, konwentowi św. Maryi Magdaleny przy Biłgoraju zostającemu, do używania puszczam i przy posesyi rzetelnej Ich Mości Ojców konwentu pomienionego, przy dalszej mej łasce zachować bez wszelkiej przeszkody obiecuję. Na co dla lepszej pewności to pismo ręką moją przy przyciśnięciu pieczęci podpisuję. Działo się w Zamościu dnia 18 maja 1677 roku.

Marcin Zamoyski

Zostało ono niestety, tj. po... 150 latach, unieważnione przez Zarząd Ordynacji Zamojskiej, z siedzibą w Zwierzyńcu i pozbawiło Zakon Braci Mniejszych Konwentualnych w Królestwie Polskim przed kasatą, do czerpania z tejże fundacji wszelkich korzyści.

Piotr Flor
Prezes BTR

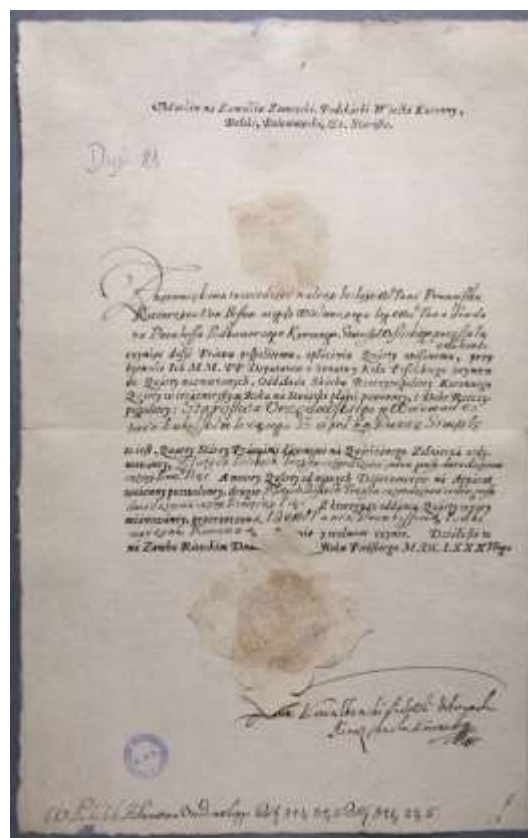
Wszelkie prawa zastrzeżone©



Podskarbi wielki koronny
Marcin Zamoyski.
Muzeum w Kozłówce



Marcin Zamoyski czwarty
ordynat w latach 1676-1689



Pismo podskarbiego koronnego Marcina Zamoyskiego
potwierdzające odbiór podatku, tj. kwarty na wojsko koronne
1685

BOOKIECIK WRAŻEŃ POLECA

Jeśli macie ochotę na lekturę, która zaangażuje Was emocjonalnie, zawładnie czasem, myśleniem i sercem, to mam dla was coś, co doskonale zaspokoi tego rodzaju pragnienie. Mam tu na myśli porywającą serię mazurską „Między jeziorami” autorstwa Magdaleny Wali, zapoczątkowaną tomem pt. „W sercu wroga”. To przejmująco realistyczna, inspirowana autentycznymi historiami przesiedleń i narodowościowych konfliktów pozycja, obok której nie sposób przejść obojętnie.

Sięgając po powieść, trafiamy na Mazury z czasów II wojny światowej i poznajemy Amalię (młodą Mazurkę z dziada pradziada oraz synową bogatych niemieckich gospodarzy), której mąż służy na wschodnim froncie. W rodzinie, ślepo wierzącej w potęgę Hitlera i Rzeszy, nie jest kobiecie lekko. Ma świadomość okrucieństw wojny i tęskni za mężem, ale wydaje się być pogodzona ze swoim losem. Biernie przyjmuje to, co przynosi jej życie. Kiedy do gospodarstwa trafia polski robotnik przymusowy Piotr Liszkiewicz, Amalia czuje niepokój, bo postawa mężczyzny, jego nienawistne spojrzenia i żądza zemsty w oczach, nie zapowiadają niczego dobrego. Mimo to, z biegiem czasu, dwa zupełnie odrębne światy i sposoby myślenia, nawiązują nić porozumienia, dając początek niespodziewanej więzi, za którą obojgu z nich może grozić śmierć. Brzmi intrygująco, prawda?

Opowieść wciąga czytelnika od pierwszej do ostatniej strony. Relacja między bohaterami to wzajemne przyciąganie i odpychanie, walka z samym sobą, swoiste rozdarcie pomiędzy własnymi uprzedzeniami a ciekawością i pragnieniem lepszego poznania racji drugiej strony. To nauka postrzegania świata i „wroga” nie przez pryzmat czerni i bieli, ale i w różnych odcieniach szarości.

Lektura skłania do zadumy, myślenia i rewidowania pochopnie wyciąganych wniosków, szczególnie tych opartych na niepełnej wiedzy i przekazywanych nam stereotypach. Dostarcza cennej wiedzy na temat skomplikowanej sytuacji mieszkańców Prus z okresu II wojny światowej oraz gehenny Polaków, przymuszanych do niewolniczej pracy na rzecz niemieckiej maszyny wojennej i podtrzymywania mitu o niepokonanej Rzeszy.

Poznajemy też rozdzierające serce historie wielu drugoplanowych postaci z obu stron „barykady”. Wojna i związane z nią okrucieństwa nie oszczędzają nikogo, zmieniają ludzi w bestie, wyzuwają z elementarnego człowieczeństwa. Obrazy przemocy i niesprawiedliwości budzą jednak również i resztki sumienia, dając siłę do przeciwstawienia się temu, co podłe i na wskroś złe. Z kart książki wyziera cierpienie i krzywda ludzi traktowanych jak niewolnicy, jak podgatunek bez prawa do życia i samostanowienia, z drugiej strony - głęboka wiara i nadzieja, że w ostatecznej rozgrywce mimo wszystko zatriumfuje dobro.

Wspaniała historia, a właściwie preludium do jeszcze bardziej poruszających przeżyć i zdarzeń, o których mowa w drugim tomie zatytułowanym „Czas złych snów”. Dla Amalii bowiem, prawdziwy wojenny koszmar nie kończy się wraz z przegraną III Rzeszy – dochodzi do łamiących serce wydarzeń, jakie następują już po podjęciu przez nią decyzji o opuszczeniu rodzinnej miejscowości w obawie przed nadciągającą hordą Sowieci. Wycieńczającą ucieczkę kobiet w skrajnych warunkach pogodowych mroźnej zimy, przerywa konfrontacja z bestialstwem „wyzwolicielei”, po której już nic nie będzie takie samo, a walka o przetrwanie stanie się okrutną codziennością kobiet - złym snem na jawie, z którego nie sposób się wybudzić.

Już w trakcie czytania „Czasu złych snów”, a potem jeszcze długo po lekturze, targają mną bardzo silne emocje. Brakowało mi słów, by choć w części wyrazić to, jak mocno tekst tego tomu oddziaływał na moją wyobraźnię; ile poruszających obrazów wywołał, ilu skrajnych emocji i odczuć był dostarczycielem: przerażenia i narastającej grozy z jednej

strony, a ogromu współczucia dla losu ukazanych kobiet - z drugiej. Miałam nieodparte wrażenie, że oto przed moimi oczyma przewija się taśma filmowa z iście hitchcockowym zamysłem: zacząć od swoistego trzęsienia ziemi, by potem napięcie mogło już tylko nieprzerwanie rosnąć.

Z każdym kolejnym zwrotem akcji rósł także mój szacunek dla niezłomnych kobiecych postaw, dla siły ich ducha i woli przetrwania. Wzajemna troska, psychiczne wsparcie, wyrażane zrozumienie dla indywidualnych, niekiedy niemoralnych decyzji i wyborów, czynią tę opowieść cenną lekcją autentycznego człowieczeństwa.

To, co mnie ujęło w tej historii to także troska autorki, by ukazać zdarzenia i postaci bez sztampowego podziału na biel i czerń czy odgórnego dzielenia na sprzymierzeńców i wrogów ze względu na przynależność narodową. Jak w prawdziwym życiu, na kartach powieści spotykamy ludzi dobrych i złych, zbrodniarzy, ale i bohaterów codzienności; tych, którzy nieuchronnie staczają się na moralne dno i takich, którzy uznają swoje błędy, próbując je naprawić.

Chwytający za gardło epilog jest taką niewiadomą, że trzeciego, ostatniego tomu pragnie się na już, a najlepiej i na wczoraj. Pytania, co dalej, czy Amalia i Piotr zaznają wspólnego szczęścia, czy może obiektywne okoliczności sytuacji powojennej rozdzieli ich na zawsze, domagają się jak najpilniejszej odpowiedzi, na którą przyjdzie nam czytelnikom jeszcze chwilę poczekać. Jednego jestem pewna - zdecydowanie warto!





Seria mazurska „Między jeziorami”: W SERCU WROGA i CZAS ZŁYCH SNÓW
 Autor: Magdalena Wala
 Wydawnictwo Książnica

Mariola Sokal-Dziura
 (@bookieci_k_wrazen)



NA SZKLANYM EKRANIE

Uwierz w ducha

„To niezwykle. Miłość jest w nas. Zabierz ją ze sobą,”

Zaskakująca koncepcja, utalentowani aktorzy, niezwykła piosenka „Unchained Melody” wykonana przez Righteous Brothers i prosta fabuła- nieżyjący mężczyzna dostaje od losu szansę powiedzenia „kocham cię” osobie, której nie mówił tego, gdy jeszcze miał okazję. To właśnie te elementy sprawiły, że film „Uwierz w ducha” (1990r.) w reżyserii Jerry’ego Zuckera zyskał zarówno uznanie widzów na całym świecie, jak i pięć nominacji do Oscara, (z czego wygrał w dwóch kategoriach). Ponadto okazał się również niebywałym sukcesem kasowym, zarabiając ponad 505 mln dolarów. Tym samym, deklasując wówczas takie dzieła, jak „Kevin sam w domu” czy „Szklana pułapka 2”.

Sam Wheat (znany przede wszystkim z „Dirty Dancing Patrick Swayze) prowadzi spokojne życie, ma bardzo dobrze płatną pracę bankowca, oddanego przyjaciela i wspólnika oraz dziewczynę Molly (Demi Moore), w której jest szczęśliwie zakochany. Niestety, w wyniku „nieszczęśliwego” wypadku podczas jednego ze spacerów, Sam zostaje zaatakowany i postrzelony. Na początku mężczyzna jest w szoku i próbuje dogonić złodzieja, jednak szybko zauważa, że dzieje się coś nietypowego. Obok leży jego własne zakrwawione ciało, a on naprawdę nie żyje. Mimo to jakimś niewyjaśnionym sposobem nadal jest w swoim świecie, stoi na ulicy, chociaż nikt (z wyjątkiem innych duchów) go nie widzi. Pograżony w żałobie mężczyzna przypadkowo poznaje swojego zabójcę oraz jego zleceniodawcę. Na jaw wychodzi wiele tajemnic. Sam postanawia rozwiązać tę sprawę i przy tym ochronić Molly przed niebezpieczeństwem. Ma do wykonania misję. Kontaktuje się z oszustką spirytystyczną Odą Brown (zdobywczynią Oscara za najlepszą rolę drugoplanową- Whoop Goldberg), która paradoksalnie potrafi się z nim porozumiewać. A to tylko początek nietypowych wydarzeń zaprezentowanych nam przez reżysera...



Co ciekawe, film, który już od 33 lat jest tak chętnie oglądany, mógłby wcale nie powstać. W jednym z wywiadów, główna aktorka Demi Moore przyznała, że początkowo sceptycznie podeszła do propozycji zaprezentowanej jej przez agenta: „*Mam mieć romans z nieboszczykiem? Oj, nie wygląda to zachęcająco*”. Na szczęście rolę przyjęła, a nawet zapisała się na kurs garncarstwa, aby najbardziej charakterystyczna scena wśród komedii romantycznych (i dodatkowo improwizowana) wyszła idealnie. W połączeniu ze słynną piosenką „Unchained Melody” bez wątpienia zapada w pamięć. Z kolei casting do roli Ody był bardzo oblegany. Zwycięzcy z uśmiechem na ustach wspomina po latach te dawne zmagania aktorskie: „*Kobiety malowały twarz na czarno, aby mieć szansę to zagrać*”. Istotny jest tutaj również kontekst biograficzny, który sprawi, że z innej perspektywy spojrzymy na tę historię. Tytułowy duch-aktor Patrick Swayze zachorował na nowotwór trzustki, a kilkanaście miesięcy po diagnozie zmarł. Dzisiaj, kiedy oglądamy ten film, nabiera on jeszcze bardziej szczególnego znaczenia. Jego wielowymiarowość jest niezwykła.

Serdecznie polecam i zachęcam do seansu, ten film nie da o sobie szybko zapomnieć!

Aleksandra Chutkowska

TAJEMNICE STAREJ FOTOGRAFII

Ostatnimi czasy drogą mailową otrzymałem od pani Ewy zamieszkałej obecnie na Dolnym Śląsku w Bolesławcu bardzo ciekawą fotografię, która zainspirowała mnie do poznania losów osoby na niej widniejącej. Przyjąłem wyzwanie z radością, ale i ekscytacją, ponieważ ci ludzie byli powiązani z wioską mojego dzieciństwa, z Jasiennikiem Starym. To stara fotografia mająca z góra osiemdziesiąt lat, przeto pamięć tamtej osoby oraz tamtych czasów odeszła w już praktycznie w zapomnienie. Jako że lubię trudne wyzwania, postanowiłem zająć się to sprawą.

Ustaliłem, że osobą widniejącą na tej archiwalnej już fotografii jest Franciszek Łokaj, który urodził się i zmarł w Jasienniku Starym, w tej jego części, którą zwą Budami. Czas jego ziemskiego pielgrzymowania przypadał na lata 1864-?. Niestety, tu musiałem postawić znak zapytania, ponieważ nie znam daty jego śmierci. Wynika to pośrednio z życiowej drogi pana Franciszka. Drogi, którą sam wybrał, a która okazała się być ślepych zaułkiem. Najogólniej mówiąc, pan Franciszek miał słabość do mocnych trunków. Potwierdzają to słowa jego potomnych oraz najstarszych mieszkańców Jasiennika, którzy wspominają, że Łokajowie przepili gospodarstwo. Dosłownie!

W tym miejscu pragnę przytoczyć pewną anegdotę, przekazaną mi przez pana Jerzego Łokaja, a tyczącą się jego pradziadka – wspomnianego wyżej Franciszka. Powiada on, że w rodzinie wciąż trwa pamięć hucznych zabaw oraz wielodniowych wojaży przodka, i przytacza taką oto opowieść: Było to gdzieś pod koniec lat dwudziestych ubiegłego wieku. Franciszek wybornie bawił się w karczmie u krzeszowskiego Żyda, a że zabawa była przednia i mocno zakrapiana, dlatego przedłużyła się do godzin późno wieczornych. Franciszek mocno sfatygowany w nogach i rozleniwiony gorzałką, nie ma zamiaru wracać pieszo do Jasiennika, a że grosza miał jeszcze znacznego przy duszy, dlatego postanowił wynająć podwozy. Nie jeden bynajmniej, ale dwa, żeby i jego kapelusz mógł dostąpić zaszczytu podróży na oddzielnym wozie. No cóż, jak się bawić, to się bawić. Jednak z każdą kolejną eskapadą grosza ubywało, a długi wręcz odwrotnie - ekspresowo rosły. Aż skończyło się tak, jak się skończyło.

W podobnym tonie o pradziadku wypowiada się pani Ewa wspominając, że jego nieodpowiedzialne zachowanie doprowadziło do utraty gospodarstwa i skazanie rodziny na wieloletnią tułaczkę. Tak było, a potwierdzają to fakty historyczne, które mówią, że gospodarstwo państwa Łokajów wskutek zadłużenia zostało wystawione na licytację, a następnie sprzedane. Część uzyskanych pieniędzy poszła na spłatę zobowiązań, pozostała posłużyła na przeprowadzkę w okolice Zamościa. Prawdopodobnie tam też osiadł oraz zakończył swoją ziemską wędrówkę pan Franciszek. Jednak nie wszyscy mieli tyle „szczęścia”, ponieważ jego dzieci zmuszone były wyruszyć w daleki i obcy świat w poszukiwaniu chleba. Podobnie rzecz miała się z babcią pani Ewy, a córką Franciszka. Ta, zarobkowo wyruszyła do Niemiec, gdzie też spotkała swego późniejszego męża, osobę równie jak ona ubogą. Przez pewien czas młodzi pracują i mieszkają w obecnym Kostrzynie n/Odrą, by po kilku latach powrócić w rodzinne strony. Tutaj, pracą swych rąk oraz determinacją i uporem udaje się im zestawić małą chałupkę. Chatkę, która staje się ich nowym miejscem na ziemi. W niej, na świat przyszedł tato pani Ewy, któremu nie dane było

zapamiętać własnego. Ten, wyjechawszy zarobkowo na Łotwę, nigdy z niej nie powrócił do rodziny. Nie porzucił rodziny, bynajmniej, to zły los sprawił, że przepadł bez wieści.

Dziesięć lat mieszkała rodzina w tym miejscu, na przemian przymierając głodem i chłodem. Na lepsze zmieniło się dopiero po wojnie, kiedy to za namową znajomych oraz rodziny, babcia pani Ewy wraz z trójką dzieci wyjeżdża na Ziemię Zachodnie. Osiada na Dolnym Śląsku, w Kotlinie Kłodzkiej, gdzie rozpoczyna się kolejny etap w życiu rodziny.

Pozwólcie, że nie będę się wgłębiał w dalsze ich losy, chociaż te również są interesujące, lecz zakończę swoje opowiadanie przemyśleniami, jakie nachodziły mnie w trakcie odkrywania kolejnych sekretów tejże rodziny. Na plan pierwszy wysunąłbym sprawy związane z nałogiem głowy rodziny. Konkretnie jego uzależnienie od mocnych trunków. Ileż to razy słyszymy - „przecież piję za swoje”. Pewnie tak jest, ale gdy ma się rodzinę na utrzymaniu, nigdy nie ma się „swoich” pieniędzy. Proszę zwrócić uwagę, że już kilka pokoleń ciągnie się za rodziną „ogon pijaństwa” zapoczątkowany przez Franciszka - sprawa jego ekscesów oraz utraty gospodarstwa. Wprawdzie dzisiaj temat ten pozostaje (na szczęście) tylko w sferze anegdot, ale wtedy nikomu nie było do śmiechu. Zwłaszcza dzieciom, które w swoim ubóstwie miały ogromny żal do ojca. Wprawdzie te - dzięki pracowitości, uporowi oraz determinacji stanęły na nogi, ale utraty lat beztróskiego dzieciństwa oraz szczęśliwej młodości nikt im już nie zwróci. Smutne to, że postawa jednej osoby potrafi wpłynąć na losy wielu innych.



Franciszek Łokaj 1865-?

Chciałbym zakończyć czymś miłym, ale biegu historii nie jestem w stanie zmienić. Chociaż nie - są jednak pozytywy. Chociażby to, że kolejne (już czwarte) pokolenie swoimi losami pokierowało diametralnie odmiennie od tego, co było udziałem śp. Franciszka. A z panią Ewą, która ze swoich archiwów wygrzebała zdjęcie pradziadka jestem umówiony we Wrocławiu na plotki przy kawie. Przepraszam – nie plotki, lecz wspomnienia i poważne rozmowy związane z historią rodziny oraz miejscem urodzenia jej pradziadka. Ale to wciąż jeszcze przede mną.

Andrzej Wójcik

Druga strona medalu- Julio Rafael

Rzucona moneta upadnie jedną lub drugą stroną na wierzchu, choć uparci będą twierdzić, że może też stać pionowo. Teoretycznie możliwe, choć praktycznie wysoce nieprawdopodobne. W przypadku monet używa się pojęć awersu i rewersu, lub orła i reszki; ale na przykład u Anglosasów są to głowa i ogon (*head and tail*). W każdym razie obie strony działają na zasadzie równouprawnienia, tak samo często oglądane i używane.

Natomiast w przypadku medali zachodzi dziwna okoliczność. Mianowicie większość ludzi zauważa tylko jedną stronę, nazwijmy ją pierwszą, o drugiej zapominając lub ją całkowicie ignorując, świadomie lub nie. Ba, w wielu przypadkach nawet nie zdając sobie sprawy z jej istnienia. Dobrze to czy źle?

Z medalem sprawa jest taka, że ta ignorowana druga strona z reguły oznacza coś przeciwnego do pierwszej, przykładowo dobro/zło, i tak dalej parami: warto/nie warto, ładne/brzydkie, duży/mały, szybki/wolny, mądry/głupi... Zaskakujące jest, że człowiek przypominający innym o tym „sparowaniu”, zyskuje często miano czepialskiego, niewygodnego wręcz, bo zadowolonym z siebie rozmówcom burzy użytą argumentację, uwypuklając jej ograniczenie i słabość, bezsensowność w skrajnym przypadku. Cóż, nikogo nie cieszy uświadamianie mu tej ułomności, co często prowadzi do konfliktów. Rzadko kto potrafi okazać klasę i uznać, niekoniecznie od razu słuszność kontrargumentu – czyli tej drugiej strony medalu - lecz chociażby jego istnienie i że warto się nad nim zastanowić.

Jasne, to co powyżej nie zawsze dotyczy spraw wielkiej wagi, zatem może nawet nie warto kruszyć kopii, gdyby nie to, że, jak mawiał pewien mądry człowiek, „sztuka cierpi”. Cóż, nic się złego nie stanie, jeśli komuś podającemu psa jako przykład najlepszego przyjaciela człowieka, podpowie się, że tak samo często nazywa się go przysłowiowym wręcz kłamacz („łżesz jak pies”). Nieco gorzej, bo bardziej osobiście, gdy o poecie piszącym utwory wychwalane jako uniwersalne – ilu czytających, tyle różnych interpretacji – równie dobrze można powiedzieć, że wobec tego swojego własnego indywidualnego przesłania nie umiał przekazać (lub że w ogóle żadnego nie miał do przekazania). Ale waga przywołania drugiej strony medalu znacznie może wzrosnąć, na przykład wychwalając sprawność fachowców, odkrywających podczas końcowego odbioru poważne wady źle wykonanej konstrukcji, zagrażającej bezpieczeństwu budowli. Aż się prosi wtedy zapytać o drugą stronę medalu – za co ich chwalić, gdzie oni wszyscy byli podczas źle wykonywanych robót?

No, żeby nieco złagodzić nastrój, można, inspirując się słowami piosenki zespołu Pink Floyd, choć pewnie już wcześniej przez jakiegoś filozofa wypowiedzianymi, wyrazić zachwyt upływającym kolejnym pięknym dniem. No i już tylko niezdolnie czepialski człowiek może nieco zepsuć ten nastrój, odwracając medal na drugą stronę, gdzie drobnymi literami napisano, że to przecież jednocześnie jeden kolejny dzień bliżej do śmierci.

Impuls do powyższych wywodów nadszedł z nieoczekiwanej strony. Moje niewzruszone od lat przekonanie o istnieniu i powszechnym niedocenianiu drugiej strony medalu doznało nagłego, szokowego „dopalacza”, po lekturze dopiero co wydanej książki „Żony Beatlesów”. Szok to właściwe określenie jako reakcja na te drugostronno-medalowe informacje/fakty opisujące paskudne strony życia niektórych z największych idoli naszych czasów. Zwłaszcza w kontraście do powszechnego uwielbienia dla ich wspaniałych artystycznych dokonań.

Na zakończenie taka refleksja. Tajemnicą poliszynela jest, że jak wieść niesie, trwają i są na ukończeniu prace nad odkryciem medalu jednostronnego, a międzynarodowy zespół naukowców ma wielką nadzieję na nagrodę Nobla. Podobno od opublikowania odkrycia powstrzymuje ich już tylko jedna kwestia. Jaka okaże się druga strona medalu tego odkrycia?

WIERSTY Z SZUFLADY

ANTIDOTUM

kot rozpycha się i nie daje zasnąć
wciąż pytasz w jakim kolorze spadnie deszcz
i dlaczego kurz fruwa w przeciągu
tak ładnie wszystko było poukładane

jeszcze noc a na trawie już krople
dym w kominie zacznie nucić niedługo
otworzą się drzwi i wpadnie trochę złota
nawet jeśli gdzieś pojawią się plamy

kiedyś przed wystawą kłamię fryzjera
za fale na mojej czuprynie
później podziwiałem białą sukienkę
a kiedy zamałowano szybę siadał przed nią
grajek
za kilka monet przypominał o schodach do
nieba
albo o dziewczynie o perłowych włosach

zasłuchany całowałem twoją szyję
zerkając czy autobus już nadjechał

kot znika na cały dzień

Julo Rafeld

Szczęśliwy

ten
co na swoim podwórku
zbierze
garść malin
kilka listków mięty
(z niespodziewanego romansu czarnej
porzeczki ze śliwką)

ugotuje kompot

szczęśliwy
ten
co w upalne
popołudnie
zaśnie

pod swoją jabłonką

J. Bożek Krasoń

STOPKA REDAKCYJNA

Redakcja: Joanna Bożek-Krasoń

Opracowanie graficzne: Natalia Bożek

Współpraca: Piotr Flor, Mariola Sokal-Dziura, Aleksandra Chutkowska, Andrzej Wójcik,
Juliusz Rafeld,

Adres redakcji: Huta Krzeszowska, ul. Łąkowa 29, 37-413 Harasiuki

E-mail: wioska.na.krancu@wp.pl

Tel: 535455794

Nr w rejestrze Dzienników i czasopism: INS 15/20